

PORWANIE

]

Przełot samolotami w miarę wygodny, choć za dużo przesiadek i oczekiwania na lotniskach. Strasznie się bałem, że przy tych transferach zaginie mi bagaż, a szczególnie tu, w tym rejonie. Ale udało się, choć na pokazanie się mojego bagażu na lotnisku w Port-au-Prince ¹ czekałem bardzo długo i już nawet myślałem, że zaginał.

Agent oczywiście nie przyszedł, zresztą przeczuwałem, że tak będzie. Całe szczęście, że przyszedł kapitan statku, który obejmowałem – szczupły, mojego wzrostu, o dziesięć lat młodszy, ale już łysiejący pan, który z otoczenia wyróżniał się europejskim wyglądem więc bez trudu się znaleźliśmy, bo ja też wystawałem ponad otoczenie i byłem jedynym białym, który tu wysiadł.

Samolot leciał dalej do Miami² i był pełen Amerykanów. Stewardesa zatrzymała mnie przy wyjściu, aby upewnić się, czy wiem, gdzie wysiadam.

– To jeszcze nie Miami – powiedziała z uśmiechem.

– Tak, wiem, ale niestety ja tutaj – również z uśmiechem odparłem.



¹ Port i stolica Republiki HAITI na Hispanioli.

² Miasto na Florydzie.

Jakiś czas czekaliśmy w cieniu przydrożnej palmy w nadziei, że pojawi się agent. W końcu kapitan Stypuła postanowił znaleźć jakiś środek lokomocji i zawieźć mnie na statek. Pełno tu było oferentów transportowych usług, ale żadnej normalnej taksówki. Muszę tu zaznaczyć, że Port-au-Prince jest stolicą Republiki HAITI. Przejeżdżające samochody to raczej przegląd poruszającego się złomowiska. W końcu pan Stanisław wybrał jakiegoś „taksówkarza”, który zapewniał, że na pewno wszystko wie i za 20\$ zawiezie nas na statek. Byłem przekonany, że pan Stanisław orientuje się w mieście, do którego wielokrotnie zawiął i poddałem się całkowicie jego dyrektywom i nawigacji.

Samochód, jaki podjechał po nas, był żalosną ruiną Datsuna, którego rocznik był trudny do ustalenia, a braki w karoserii i wyposażeniu rzucały się z daleka w oczy. We wnętrzu brak było sporej części tapicerki, a zgrzyty dobywające się spod pogiętej maski silnika kazały wątpić w możliwość dotarcia do celu. Samochód był chyba kiedyś koloru czerwonego, ale pod grubą warstwą kurzu trudno było stwierdzić to z całą stanowczością. Ruszyliśmy. Kierowca, zupełnie czarny, bez przerwy coś mówił i w pewnym momencie zaskoczyłem, że język, którym się posługiwał, był mi obcy, może nie tyle obcy, co niezrozumiały. Uświadomiłem sobie, dopiero w tej chwili, że oni tu mówią po francusku³, a nie, jak myślałem wcześniej, po hiszpańsku. Należałoby wytłumaczyć tutaj, dlaczego tak jest, ale myślę, że czytelnik sięgnie do jakiejś encyklopedii i rozszerzy sobie horyzonty w tej materii – kiedyś pokłócili się czarni z innymi kolorowymi („białymi”) i po krwawych walkach podzielili wyspę na dwie republiki: francusko- i hiszpańskojęzyczną – oczywiście nie o język chodziło, ale o szczegóły trudno tu się rozwodzić.

Zawsze mi się wydawało, że w każdym porcie, każdy taksówkarz czy udający taksówkarza tubylec to wie, że marynarza (a to przecież było po nas widać) trzeba zawieźć do portu na statek. Słowa „port”, „vessel”, „ship”, „barco” itp. są znane powszechnie w każdym porcie, bez względu na lokalny język. Czarny facet, gdy mu tłumaczyliśmy, gdzie ma nas zawieźć, kiwał głową i bez przerwy powtarzał „YES, SIR!”.

Początkowo zająłem się oglądaniem „ulic miasta”, ale siedziałem na gołej blasze siedzenia bez tapicerki i po krótkiej chwili stwierdziłem, że muszę zająć się unoszeniem ciała na permanentnych wybojach, bo inaczej mój szanowny tyłek zmieni kolor na siny szybciej niż po stu latach życia.

– Panie Stasiu, czy my dobrze jedziemy? – zapytałem mojego „przewodnika”, gdy kierunek, w jakim wiła się droga, wydał mi się niezgodny z moim wyobrażeniem topografii rejonu.

Z natury i zawodu mam doskonałą wyobraźnię i orientację w terenie. Nadlatując w pięknym porannym słońcu nad Hispaniolę i miasto, przyjrzałem się im dość starannie. Nawet widziałem swój przyszły statek zacumowany przy kei. Port, gdzie stał „CEM CARIBE”, był niemal w prostej linii na południe od lotniska, a droga doń wydała się nie tak daleka. Rozejrzałem się jeszcze raz po

³ Republika HAITI – jedyne niepodległe państwo w tym rejonie świata z urzędowym językiem francuskim – liczba ludności 6,781 mln (1998).

rzedniejących „slumsowych” domach, popatrzyłem na słońce i wysokie góry, ku którym zmierzał samochód. Nie, na pewno portu w górach nie ma!

– Panie Stanisławie! Jedziemy nie w tym kierunku! Coś tu nie gra!

Znów zaczęły się przekomarzania z kierowcą, który wyraźnie nie rozumiał, co do niego mówimy i ignorował naszą irytację. Zresztą myśmy też nie rozumieli, co on do nas bez przerwy gadał.

– Stop!!! – krzyknąłem.



„Taksówkarz” skulił głowę i zaskoczony, jak i pan Stanisław, nacisnął na hamulec. Skuteczność tego urządzenia była niewielka i mimo niezbyt szybkiej jazdy samochód przetoczył się jeszcze sporo metrów, zanim stanął.

Nie wiadomo skąd nasz pojazd otoczony został czarnymi ludźmi, których wygląd nasuwał przed oczy zdjęcia z Oświęcimia. Chudzi, brudni, z wytrzeszczonymi oczyma, których białka na tle czarnych twarzy wydawały się nienaturalnej wielkości, wtykali głowy do środka (połowy szyb nie było) i o czymś energicznie rozprawiali z naszym kierowcą, nawet nie po francusku, a jakąś tutejszą mieszaniną. Co chwila któryś z nich machał niesamowicie długą i przeraźliwie chudą ręką w jakimś kierunku.

– Zawracamy! – krzyknąłem z myślą o kierowcy, ale spojrzałem na pana Stanisława, który miał trochę pobladłą twarz i ani nie zaprzeczył, ani nie przytaknął mojej decyzji. Mimo że powiedziałem to po polsku, kierowca, widząc przy tym mój gest ręką, zrozumiał i ruszywszy ostrożnie, żeby nie przejechać otaczającego nas tłumu, szerokim łukiem zawrócił. Czarni tubylcy

jeszcze jakiś czas biegli za nami, ale powoli odpadali w rywalizacji z nawet tak zdezelowanym autem.

PRRR!!! RUM! RUM! TRACH I TRACH! – stajemy. Coś zgrzytnęło, zachrobotało i samochód toczył się już tylko rozpędem. Nasz „taksówkarz” przez chwilę jeszcze próbował manipulować wyraźnie luźnym drążkiem biegów. Gdy samochód w końcu zatrzymał się, wysiadłem i namówiłem do tego samego mojego „przewodnika”.

– Idziemy, panie Stasiu! Nic tu po nas.

Podszedłem do bagażnika, gdzie był mój bagaż. Spróbowałem go otworzyć, ale opierał się skutecznie. Kierowca wyskoczył za nami i wrzeszcząc coś wymachiwał długimi „gałęziami” to w naszym, to w samochodzie kierunku. Otworzył maskę. Buchnęło parą i zapachem przegrzanego silnika. Nasz czarny zaczął coś tam grzebać, a ja nadal walczyłem z bagażnikiem. W końcu szarpnąłem mocniej i wyrwałem i tak już pociętą klapę. Wystawiłem swój bagaż. Torbę z komputerem podałem panu Stasiowi, a sam zabrałem walizkę i ruszyłem na południe. Mój kompan bez słowa ruszył za mną. Pan Stanisław był w ogóle bardzo małomówny. Może czuł się trochę głupio, że tak wyszło. Zupełnie nie wiadomo kiedy przejąłem całkowicie inicjatywę, a on poddał mi się bez żadnego sprzeciwu. Może poczuł moją logistyczną i decyzyjną przewagę, a może nie protestował przez szacunek dla mojego wieku? Kółeczka mojej walizki źle znosiły wyboistą drogę, ale pamiętałem, że jakiś kilometr dalej będzie już asfalt.

Żar z nieba walił niesamowity – dochodziło przecież południe. Miałem na sobie tylko koszulę z krótkim rękawkiem, ale szybko oblałem się potem. Moja nadwaga dawała mi się we znaki. Miałem nie tylko mokrą koszulę, ale po plecach i bokach pot ciekł mi na pośladki i uda.

Nagle za plecami usłyszałem szybkie kroki. Odwróciłem się i ujrzałem naszego „TAXI” z jakimś narzędziem w dłoni. Już domyślałem się, o co chodzi – oczywiście o pieniądze.

– No work, no money! No service, no money!⁴ – wyklepałem oczywistą w takich okolicznościach formułę bez nadziei, że zostanie zrozumiana.

Dalej ruszyliśmy w milczeniu, a on krok w krok za nami. Wlokąc już nogi po asfalcie, do którego w końcu dotarliśmy, czuliśmy na plecach jego oddech i słyszeliśmy monolog, którego treści nie sposób było zrozumieć, aczkolwiek sens był dla nas jasny. Próbowałem zatrzymać jakiś jadący w stronę lotniska samochód, ale wszystkie nas omijały, robiąc większy łuk na drodze. Przysiadłem zmęczony na jakimś murku. „TAXI” stało nad nami i bez przerwy gadało.

⁴ (ang.) – Nie ma pracy, nie ma pieniędzy! Nie ma obsługi, nie ma pieniędzy!



Zupełnie niespodziewanie nadjechał trak z lawetą, na której był jakiś rozbity samochód, i zatrzymał się przy nas. Z szoferki wychyliła się absolutnie czarna głowa i z uśmiechem zagadała po angielsku:

– Can I help you? ⁵

Zbaraniałem, ale konsternacja nie trwała długo i po chwili pakowaliśmy się z bagażem do jego szoferki. Było ciasno i niewygodnie, ale co za rozkosz jechać zamiast iść w taki tropikalny skwar. Jakież było nasze przerażenie, kiedy po chwili, gdy nasz zbawczy samochód już jechał, w bocznym okienku szoferki pokazała się głowa „TAXI” i zaczęła znów gadać. Tym razem odbiorcą miał być nasz wybawca. Siedzieliśmy między dwoma czarnymi głowami, które kłóciły się ze sobą zajadle. Oni gadali, a samochód jechał, aż dojechał do punktu naszego wyjścia, czyli znów byliśmy na lotnisku.

Byłem przekonany, że to koniec naszej udręki. Okazało się, że byłem w błędzie. Kierowca, który nas przywiózł, wyskoczył z szoferki i podbiegł do umundurowanej policjantki i pewnie powiedział do niej coś takiego:

– Proszę aresztować tego mężczyznę, próbował wywieźć tych dwóch dżentelmenów w góry i pewnie ich obrabować – prawdopodobnie tak mówiąc, wskazał ręką na naszego „TAXI”, który właśnie próbował zniknąć.

Słusznej budowy Murzynka wsadziła w wybijające usta srebrny gwizdek i zagwizdała przeraźliwie. „TAXI” zatrzymał się jak wryty. Policjantka podeszła energicznie do niego i sprawnym ruchem zapięła mu kajdanki za plecami. Popychając pojmanego przed sobą, machnęła ręką w naszym kierunku, dając

⁵ (ang.) – W czym mogę pomóc?

nam niedwuznacznie do zrozumienia, że powinniśmy iść za nią. Obaj z panem Stanisławem jęknęliśmy.

Do diabła! Wcale nie chcieliśmy takiego obrotu sprawy – nie mieliśmy nic do naszego „TAXI”. Może wcale nie miał złych zamiarów – po prostu był prymitywny i głupi, ale to jeszcze nie przestępstwo... chyba że tutaj. Marzyliśmy tylko o dotarciu na statek, ale posłuszni czarnej olbrzymce ruszyliśmy w kierunku budynekczku, który wydawał się lokalnym komisariatem.

Dziwna to była procesja: skuty kajdankami Murzyn, za nim potężna, uzbrojona w równie wielkich rozmiarów kolta Murzynka, jeden chudy, wysoki i łyśawy biały z ciężką torbą przekrzywiająca jego lewe ramię i jeszcze jeden biały, ale tęgawy dla odmiany brodacz, wlokący za sobą na kółkach walizkę, która wyraźnie sprawiała mu kłopot na wyboistej, dziurawej drodze.

Pomieszczenie, do jakiego weszliśmy, przypominało niewielki kantorek. Za wysoką ladą, podobną do barowej, stało biurko, za którym siedział mundurowy urzędnik. Gdy weszliśmy, zrobiło się tam naprawdę ciasno, tym bardziej że za nami weszło kilku ciekawskich, którzy towarzyszyli nam w drodze na komisariat.

Okazało się to nawet korzystne, bo nikt na komisariacie nie znał angielskiego i któryś z przybyłych z zewnątrz zaoferował swoje usługi tłumacza. Szofer, który nas przywiózł, zniknął bez śladu – pewnie poszedł swoją drogą, nie interesując się dalszym rozwojem wypadków.

Posejdonie kochany! Chroni wszystkich przybyszów przed jakimikolwiek kontaktami z policją w Port-au-Prince – pamiętajcie, że to Haiti. Czas nie ma tu najmniejszego znaczenia, oni tu wszyscy mają go w nadmiarze. Żyją, jakby mieli żyć wiecznie.

Zaczął się spisywanie personaliów; zakutego i dwóch dżentelmenów. O ile z tamtym nie mieli kłopotów, to u nas zaczęło się od problemu, co jest imieniem, a co nazwiskiem. Czytanie naszych paszportów szło im bardzo trudno, a gdy zobaczyłem, jak służbowy oficer robi notatkę służbową w pomiętym brulionie służbowym, wiedziałem już, że czeka nas bardzo długi wspólny czas. Pisał tak wolno, jak robi to teraz mój pięcioletni wnuk Przemek – litera po literze. Przerывał co chwila pisanie, aby się o coś zapytać „tłumacza” albo załatwić inną sprawę z kimś, kto właśnie wszedł do komisariatu.

Biednego „TAXI” ogołocoło ze wszystkiego – wypróżniono mu kieszenie, zdjęto pasek i przeszukano dokładnie odzież. Stał skruszony jak jakiś przyłapany na gorącym uczynku zbir.

Żał mi go było. Nie wiedziałem, jak mu pomóc – próbowałem tłumaczyć, że nie wnosimy przeciw niemu żadnych pretensji, że pobłądził tylko i popsuł mu się samochód. Nic do nich nie trafiało – mieli swoją ofiarę.

Kiedy wydawało się już, że nasz koszmar się skończył, wszedł do służbówki jakiś wyższy rangą policjant. Chwilę porozmawiał z tym, który właśnie nas przesłuchiwał i zaraz potem poproszono nas do sąsiedniego

pokoju. O, to był już niemal gabinet, stało tam metalowe biurko i trzy krzesła, każde różne. Poproszono nas, abyśmy usiedli, a wyższy rangą policjant wyjął z biurka formularze formalnego przesłuchania poszkodowanych. Horror! Oczywiście oficer ów nie mówił żadnym innym językiem jak francuski. Zawołano ulicznego tłumacza. Pytania były mniej więcej takie:

- W jakim języku porozumiewaliśmy się z kierowcą?
- Na migi.
- Dlaczego wybraliśmy ten samochód?
- Bo podjechał pierwszy.
- Dlaczego kazałem zawrócić?
- Bo wydało mi się, że jedziemy w złym kierunku.
- Skąd wiedziałem, że źle jedziemy, skoro jestem tu po raz pierwszy?
- Bo port jest nad morzem, a nie w górach.
- Kiedy zachowanie kierowcy wydało nam się podejrzane i czy cokolwiek zginęło z bagażu?
- Nie wydało nam się podejrzane i nic nie zginęło.

Oczywiście trudno było mu zrozumieć, że mam dobrą orientację i fotograficzną pamięć. Policjant był bardzo miły, uśmiechał się i sprawiał wrażenie zażenowanego, że musi wykonać tak przykry dla nas obowiązek. W międzyczasie odwiedziło ten pokój kilkanaście osób w różnych sprawach. Nasz miły oficer czasami wychodził, wracał i pisanie protokołu zaczynał dwukrotnie od początku. Przyszła też tam jakaś czarna, jak na tamte warunki przystojna kobieta, jego żona czy kochanka i asystując naszemu przesłuchaniu, nieustannie mnie kokietowała. Klapała oczyma, przekładała nogę na nogę, starając się pokazać przy okazji jak najwięcej. Nie omieszkała się przedstawić i próbowała prowadzić konwersację szczątkowym angielskim na tematy zupełnie niezwiązane ze sprawą.

Powolność wykonywania czynności służbowych przez wyższego rangą oficera była nie do zniesienia. Przywoływałem Senekę⁶ na pomoc, aby wytrzymać. Od mojego wylądowania w tym mieście minęło już 6 godzin, a ja wciąż byłem na lotnisku, zmęczony, głodny i wściekły. Pan Stanisław prawie się nie odzywał. Wykonywał niemal automatycznie polecenia przesłuchującego. Podawał swój paszport, odbierał i znów podawał. I tak musieliśmy w końcu nasze nazwiska sami napisać, bo nawet przepisanie z paszportów było tu problemem. Oczywiście powtórzyła się sytuacja sprzed paru godzin w kantorku.

W końcu zaczęliśmy dostrzegać koniec tego koszmaru. Policja zaczęła rozglądać się za samochodem, który by nas zawiózł na statek, nie zbaczając z drogi. Polecono jednemu z tajniaków przyprowadzić pewnego kierowcę. Spisano jego personalia, znaki szczególne, opisano samochód i przeprowadzono z kierowcą „rozmowę kwalifikacyjną”. Kierowca został zatwierdzony przez samego komendanta, który po podpisaniu przez nas

⁶ Seneka Młodszy – rzymski filozof, poeta, retor, wychowawca Nerona (4?-65 p.n.e.) – ulubiony filozof autora.
Tomasz SOBIESZCZAŃSKI – LOBO

protokołów osobiście odprowadził nas do samochodu. Tym razem był to stary Land Rover w zupełnie znośnym stanie.

Rzeczywiście droga na statek z lotniska okazała się prosta i wcale nie długa, ale moja trwała siedem godzin.
